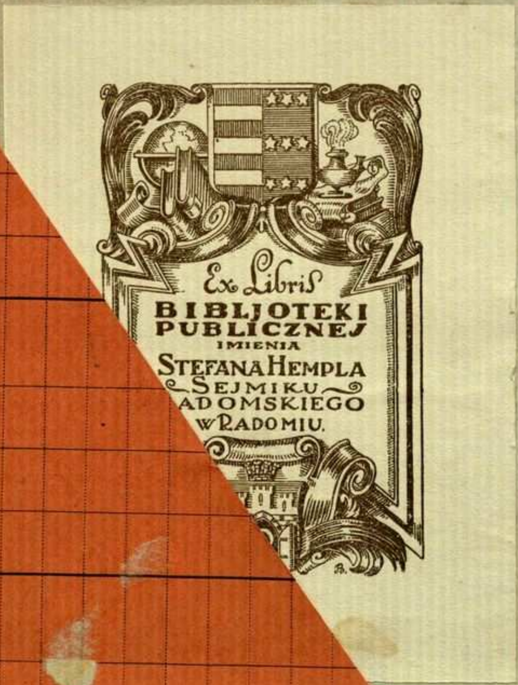

Ex Libris
BIBLJOTEKI
PUBLICZNEJ
IMIENIA
STEFANA HEMPLA
SEJMIKU
RADOMSKIEGO
W RADOMIU.

Karol Hoffman.

SKAZANIEC.

OBRAZEK

na tle prawdziwego zdarzenia.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.
1897.

SKAZANIEC.

Drukarnia Artystyczna Saturnina Sikorskiego. Nowy-Świat nr. 47.

SKAZANIEC.

OBRAZEK NA TLE PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

PRZEZ

Karola Hoffmana.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki

Nowy Świat 41.

1897.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 9 Декабря 1896 года.

Było to w grudniu, w niedzielę, we wsi kościelnej. Nabożeństwo się skończyło. Tłum ludu tłoczył się przez główną nawę do wyjścia. Ksiądz Jan, administrator parafii, wyszedł przez zakrystyę, kierując się zwolna ku plebanii. Jest to młody jeszcze człowiek, lat trzydziestu paru, nie więcej, z łagodną, dobrą twarzą, jasnem wejrzeniem i delikatnem obejściem się.

W tej chwili jednak ksiądz Jan wydaje się być czemś zakłopotanym. Machinalnie odpowiada na pozdrowienia spotykających go parafian, bezwiednie kładzie dłoń na główkach wiejskich chłopiąt, obstępujących go po drodze; przed nikim nie zatrzymuje się dłużej, nikogo nie dopuszcza do gawędki, tak upragnionej przez dziatwę i starszych. Co się stało z księdzem Janem? Co się stało z kochanym, młodym proboszczem?

Może go tak zmęczyło celebrowanie sumy w ciasnym, dusznym kościołku? Ależ ksiądz Jan ma niespożyte siły, nigdy się nie męczy na służbie Bożej, nawet w największe skwary letnie nie upada na siłach, a cóż dopiero teraz, w zimie...

Sam wszędzie i zawsze, o każdej porze dnia i nocy gotów do posługi bliźniemu, czy jako kapłan, czy jako

człowiek, opiekun i przyjaciel. Nikim się nie wyręcza, bo wikaryusza nie ma do pomocy, ale też i nie potrzebuje wyręki.

Może się tak śpieszy na obiad? Ależ proboszcz kaliniecki nigdy nie należał do smakoszów, ani łakomych; sam z siebie dawał najlepszy wzór wstrzemięźliwości i zachowywania postów. A gdy się z ludem rozgadał w niedzielę, to nieraz, bywało, gawędzą z sobą dotąd, aż dziad zasygnuje na nieszpory. Wtedy wpadnie na chwilę na plebanię, przegryzie bułką albo kawałkiem chleba i śpieszy znów do kościołka.

Troskę, wyraźnie malującą się na obliczu proboszcza, widzą dziś wszyscy skupieni przed plebanią parafianie, potrzebujący rady lub pomocy i nie śmiejący budzić księdza z tej zadumy; jedni drugim szepcą na ucho swoje przypuszczenia i trwogi.

— Coś się stało... Coś mu jest!...

Cały ten tłum kocha księdza Jana, chciałby go pocieszyć, jak on niejednego nieraz pocieszył; chciałby mu pomódz, zaradzić złemu, ale nie śmie się ozwać, nie wiedząc, co mówić, co czynić.

Przyczyną niepokoju księdza Jana był list, otrzymany przed chwilą w zakrystyi. Jakaś nieznana babina z chytrą, przepitą twarzą wsunęła mu go w rękę, bełkocąc:

— Kazali oddać w sekrecie, żeby żywa dusza nie widziała...

— Od kogo to?

Baba nie odrzekła nic, pośpiesznie rejterując ku wyjściu z zakrystyi.

— Zaczekajcie-no!

Ale nieznajoma skryła się już w tłumie i bez śladu w nim zniknęła.

Zaintrygowało to niezmiernie księdza Jana. Charakter pisma na kopercie listu nie był mu znany.

Nie wypadało czytać listu w domu Bożym, śpieszył więc na plebanię, aby czemprędzej dowiedzieć się o treści.

— Co to być może? co znaczy ta tajemniczość? — pytał sam siebie. — Ot, dzieciństwo! Może ktoś potrzebuje rady i prosi o nią listownie. Ale ta tajemniczość?... Et!... Babina nietrzeźwa widocznie, mogła nie zrozumieć, mogła świadomie przekręcić...

Nareszcie znalazł się u siebie, w skromnym, ale czystym i wdzięcznym pokoiku, gdzie staruszka, siwa jak gołąbek gospodyni, krzątała się już około stołu jadalnego.

— Dawać obiadek księżulkowi? — spytała, widocznie zadowolona z tak wczesnego powrotu księdza do domu.

— Nie jeszcze, Jacentowo. Zajęty jestem. Za chwilę.

— Niechże ksiądz proboszcz pamięta, że za chwilę... Oj, znam ja tę chwilę... Wszystko się na nic przydymi, przypali... Chwilę... chwilę... — gderała Jacentowa.

Ksiądz Jan rozerwał kopertę i czytał:

„Czcigodny księże proboszczu!

Zgnębiona przez los, zdradzana przez ludzi, do kogóż mam się udać, jak nie do Ciebie, sługo Boży! Ratuj mnie, ratuj, na Chrystusową Mękę Cię błagam!... W Tobie jednym jeszcze nadzieja moja. Ty swem sercem, tak czułem na niedolę bliźniego, odczujesz moje męki

i znajdziesz na nie lekarstwo... Znasz mnie z widzenia, a gdy poznasz głąb' duszy mojej, pożałujesz mnie, zapłaczesz nade mną!... Nie mogę pisać dużo, mam zaledwie kwadrans czasu przed sobą. Nie mogę być osobiście w Kalinowie, aby wyspowiadać się i poskarżyć przed Tobą, Ojcze; jestem śledzoną, więzioną. Ten list nawet wysyłam w trwodze wielkiej, aby nie został przejęty. Gdyby tak się stało — ostatnia nadzieja ratunku zgasłaby na zawsze. Ojcze! zaklinam Cię, spełnij moją prośbę: przybądź dziś, potajemnie, późnym wieczorem, do Niespodzianki. Moi opiekunowie (prześladowcy raczej!) wyjeżdżają między 7-mą a 8-mą wieczorem na całą noc do miasta. Ja zostaję w domu, pod pozorem choroby. Postaram się wyprawić, pod jakimkolwiek pretekstem, naszą służącą. Nikogo więc nie zastanie Ksiądz w Niespodziance, oprócz mnie. Błagam Cię, Ojcze, o zachowanie wszelkich środków ostrożności, aby żywa dusza nie wiedziała o Twych odwiedzinach Niespodzianki. Parę tych wiorst od szosy do nas może wszak Ksiądz przebyć pieszo?...

„List ten proszę spalić po przeczytaniu. Wierz mi, Czcigodny Ojcze, że w tym, dziwnym na oko, kroku całe moje zbawienie pokładam. Nie szczędź dla nieszczęsnej swego trudu; ratuj ją, ratuj, w Imię Miłosiernego Boga, w imię Twej Matki i Siostry, w imię Twego duszpasterstwa Cię zaklinam!...

„O to na klęczkach błaga Cię

nieszczęsna *Jadwiga.*"

Po przeczytaniu do końca ksiądz Jan upuścił list z drżącej ręki i zapadł w boleśniejszą jeszcze zadumę. Znalazł się oko w oko z tajemniczą historyą, w której sam ma odegrać czynną rolę... Ksiądz Jan przywykł mieć do czynienia przeważnie z duszami i sercami prostaków. Maluczcy nieśli do niego z zaufaniem swe troski, spowiadali się ze swych grzechów, zwykle podobnych do siebie, typowych niemal. Panie okoliczne jeździły zazwyczaj do spowiedzi o kilka wiorst dalej, do miasta, widocznie nie uważając wiejskiego księdza za godnego wysłuchiwania dziejów ich „wysubtelizowanych", „odruchowych" potknięć i omyłek, których popełnianiu winien świat, ludzie, cywilizacya... Rzadko bardzo jaki inteligent zapukał do konfesyonału w Kalinowie, rzadziej jeszcze ktoś z tej sfery prosił księdza Jana o radę lub pomoc.

A dziś właśnie ozwał się głos z tego koła, głos szczery, ale rozpaczny i dziwnie jakoś brzmiący.

Ksiądz Jan znał, w istocie, z widzenia osobę, która napisała do niego list. Przypominał sobie żywo młodziuchną, pełną dziewiczej krasy istotę, z kaskadą złotych włosów, z modremi, jak haber, oczyma, z wyrazem tęsknoty w tych oczach, z przedwczesną zmarszczką, wyrytą cierpieniem czy rozwagą na gładkiem, pięknem czole. Przed rokiem, podczas odpustu, była tu, w Kalinowie, spowiadała się przed nim i z rąk jego otrzymała Komunię.

I dziś to dziewczę wciągnięto w wir jakichś wypadków, grożących mu rozbiciem?...

O życiu prywatnem Jadwigi ksiądz Jan wie to, co wiedzą wszyscy, co powtarzają głośno w mieście i okolicy. Jadwiga jest sierotą, rodzice odumarli ją prawie w niemowlęctwie, pozostawiając — na nieszczęście jej może — znaczny majątek.

Wychowaniem sieroty zajął się główny opiekun,

daleki krewny, jedyny z pozostałych jej z linii ojca. Opiekunowie Jadwini nie cieszyli się w świecie dobrą opinią. On — hulaka, ona — strojnisia, przehulali i zmarnowali wszystko, co mieli, jako właściciele dwóch kamienic w poblizkiem mieście. Wtedy pan zaczął uprawiać adwokaturę prywatną, wchodząc w częste kolizye z klientami, sądami i... uczciwością. W następstwie tego „adwokat“ zaczął zapijać sprawę. Opieka nad Jadwinią spadła mu jak z nieba.

Ex-adwokatostwo zostali obywatelstwem ziemskiem, przenieśli się do dóbr i zaczęli używać życia.

Żyjąc nad stan, nie mając pojęcia o gospodarce, „opiekun“ wprędce doprowadził do ruiny odziedziczony przez pupilkę majątek. Co roku „jasne państwo“ odwiedzało na czas dłuższy Warszawę, jeździło do wód, używało świata. Co roku, z upoważnienia rady familijnej, pan opiekun główny obciążał hypotekę Kwiecina nowemi sumami, które miały iść na melioracye gospodarstwa, na edukacyę dorastającej Jadwini i tym podobne niezbędne wydatki.

Trzeba oddać sprawiedliwość opiekunowi, że na edukacyę pupilki nie żałował. Miała bony i guwernantki w dzieciństwie, w dziesiątym zaś roku oddano ją na pensyę do Warszawy, którą właśnie skończyła chlubnie przed półtora rokiem. Nie powróciła już jednak do swego majątku, do tej wsi ukochanej, gdzie się urodziła i wzrosła, gdzie na cmentarzu leżą obok siebie mateczka z ojczulkiem. „Opiekunowie“ pozbyli się majątku, a raczej pozbawili go ich wierzyciele. Ile było przytem narzekania na kryzys ekonomiczny, na konkurencyę zbożową amerykańską, na kosztowność edukacyi

panien w Warszawie, niktby nie zliczył, bo niktby nie zdobył się na cierpliwość wysłuchania wszystkiego.

— Gdyby nie wzgląd na ś. p. rodziców Jadzi, wyrzeklibyśmy się już tej opieki, która nam nic nie dała, oprócz kłopotów ciężkich i trudów — biadali.

— Oj, marny to los być cudzym parobkiem! — dodawał opiekun.

— Gdybyśmy choć za to doczekali się wdzięczności od Jadki — kończyła z westchnieniem, składając ręce, opiekunka.

W rok po powrocie Jadwini z pensyi „opiekunowie“ zaczęli uskarżać się głośno, że ich pupilka okazuje się „niewdzięcznicą“.

Ze sprzedaży dóbr przez publiczną licytacyę, po opłaceniu wierzycieli, okroiła się suma kilkunastu tysięcy rubli, złożona w banku. Członkowie rady familijnej, pod naciskiem opinii publicznej i obliczywszy się skrupulatniej z własnem sumieniem, stali się bardzo odpornymi na szturmy, przypuszczane przez głównego opiekuna do szkatuły pupilki. Odsunięto sumę 10,000 rubli, jako nietykalną, do czasu niezbyt już dalekiej pełnoletności Jadwini, lub też wyjścia jej za mąż. Z pozostałej reszty oznaczono roczną tantyemę na utrzymanie i potrzeby pupilki; sumę tę w ratach miesięcznych miał pobierać główny opiekun.

Dotknięty tem do żywego, szanowny opiekun ze swadą adwokata prywatnego wynurzać począł przed radą ubolewania nad swoją krzywdą.

— Najpiękniejsze lata straciłem na tem opiekuństwie i dziś taka mnie za to spotyka wdzięczność, taka nagroda?!

Jękiem, krzykiem, płaczem, prośbą i... groźbą wy-

mógł wreszcie na radzie, że mu wypłacono caloroczną tantyemę z góry i, tytułem odszkodowania, a właściwie odczepnego, dodano tysiąc rubli na rozpoczęcie nowego procederu.

Znalazł go w otwartej na użytek publiczny „Niespodziance“.

O kilka wiorst od miasta, w zacisznem, zadrzewionem ustroniu, leżała niby willa, niby chata, opuszczona i pustkowiem stojąca. Przemyślny opiekun Jadwini wydzierżawił ją na trzy lata za bezcen, odnowił, poprzerabiał; część gaju wyciął, natomiast popostawiał huśtawki, gimnastykę, altanki zamknięte szczelnie; na poblizki staw puścił kilka łódek; poczem oddał to wszystko na użytek „szanownej“ publiczności miejskiej, rozumie się za opłatą. Spacerowicze, na żądanie, mogli w każdym czasie zamówić lub dostać gotowe różne jadła i napoje. Spragnieni nowości miastowicze rzucili się tłumnie do „Niespodzianki“.

Wiosną i latem gwarno tu było i rojno. W godzinach poobiednich zbierała się przeważnie klasa niższa, młodzież rzemieślnicza lub wyrobnicza, huśtająca swe „wybrane“ i wożąca je łódkami po stawie. Ku wieczorowi podążała tu arystokracya małomiasteczkowa: przeważnie panowie sami, gdyż „Niespodzianka“ nie cieszyła się dobrą opinią. Panowie nie huśtali się ani wiosłowali, woląc uprawiać na świeżem powietrzu winta lub, po pensyi, „lanca“, sztosa, kości i t. p. „emocyonujące“ gierki. Niekiedy, późnym wieczorem, gdy już cienie okrywały pola i lasy, panowie z jakiemiś towarzyszkami wchodzili do altanek, skąd aż do nocy wybuchały piskliwe śmiechy, gwary ożywionej rozmowy, niekiedy zaś odgłosy kłótni.

Gościnny pan domu podejmował obecnych w miarę pakowności ich portmonet. Kto płacił gotówką i bez targu, znalazł zawsze w bród jadła i gorących napitków, chociaż gospodarz nie opłacał żadnego patentu lub konsensu.

— Z grzeczności, z gościnności wolno mi — mawiał, ostrzegany przez życzliwych.

Zimą ustawał ten napływ gości, jakkolwiek niezupełnie: odosobniony pokoik po drugiej stronie domu mieszkalnego, z okiennicami zamykanemi z wewnątrz, przywabiał niekiedy żądne romantycznej samotności parki, które, opłaciwszy haracz gospodarzowi, mogły być pewne jego zupełnej dyskrecyi i życzliwej opieki...

W takim to domu, w takiej atmosferze żyła od półtora roku sierota Jadwinia.

Od niejakiego czasu przestano ją widywać w mieście i okolicy, gdzie dawniej można ją było spotykać niekiedy, zawsze w towarzystwie i pod okiem „troskliwych opiekunów“.

Ludzie zaczęli prawić, że o rękę Jadwigi stara się Łypalski, przyjaciel i kolega szanownego opiekuna, niewiele co młodszy od niego, ale za to o wiele przebieglejszy.

Pytani przez ciekawych, opiekunowie nie kryli się wcale z projektami wydania swej pupilki za Łypalskiego.

— To łaska Boża czuwa nad sierotą — mówiła opiekunka. — Sam Bóg przeznacza jej na męża tak zacnego, statecznego człowieka.

Jadwiga jednak podobno ani chciała słuchać o tem. Mówiono, że dziewczyna, bawiąc w Warszawie,

pokochała pewnego studenta, odwzajemniając się uczuciem za uczucie, które on jej okazał pierwszy.

Młodzi, za wiedzą przełożonej pensyi, zamienili pierścionki, przyrzekając kochać się do grobu, poczem rozstali się z sobą: on pojechał szukać chleba dla dwojga, ona powróciła do opiekunów.

Sługi, zmieniające się bardzo często w „Niespodziance“, opowiadały po mieście, że „starzy“ złapali jakiś list panienki do młodego „kawalera“ i strasznie ją skrzyczeli, a pani o mało co do bicia się nie porwała. Od tej pory zabronili jej krokiem ruszać się z domu; śledzą ją i pilnują na każdym kroku, nie dadzą pisać, nie dadzą listu wysłać. Panienka z razu płakała po dniach i nocach, aż w końcu przestała, chodzi tylko jak „martwica“, ani się uśmiechnie, ani zagada do człowieka... I strach, i żal zbiera, patrząc na nią.

Pod wpływem takich pogłosek członkowie rady familijnej postanowili wezwać opiekuna głównego i sprowadzić Jadwigę, celem otrzymania od nich wyjaśnień i przekonania się, ile w pogłoskach było prawdy. Byłoby może daleko prościej samym udać się do „Niespodzianki“ i zbadać rzecz na gruncie, ale członkowie rady familijnej byli to ludzie nazbyt poważni i ciężcy, aby się mogli zdecydować na coś podobnego.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia miało się odbyć to decydujące posiedzenie, Jadwiga jednak mogła nie wiedzieć i o tem.

Wszystko to teraz uprzytomnił sobie w umyśle ksiądz Jan; skombinowanie pogłosek z listem, domniemań z rzeczywistością napełniło go do reszty gorączkowym niepokojem i grozą jakąś przed tem straszliwem

niewiadomem, co zawisło, jak złowrogie straszydło, nad biedną, samotną, opuszczoną dzieweczką.

— A może to tylko hysteryczny wybryk rozbujałej fantazyi dziewczęcej? — starał się, po chwili, uspokoić nowem przypuszczeniem. — Jakkolwiekbądź muszę spełnić jej prośbę. — Tu jednak dziwny uczuł niesmak. — Ale ta tajemniczość... to skradanie się... te odwiedziny wieczorne sam-na-sam... czy mi to przystoi?... Coby sobie ludzie o mnie pomyśleli, gdyby mnie tam zastali lub spotkali powracającego?... Ależ to, doprawdy, nie ma sensu!... Dla przywidzeń chorej, rozkapryszonej dziewczyny, dla zadosyćuczynienia jej fantazyi, mam wystawiać na śmieszność, nawet na obmowę ludzką, siebie i swoją suknię?... Nie, nigdy!... zostanę w domu!... niech sobie myśli, żem listu nie odebrał...

I zerwał się z siedzenia, zamierzając zabrać się do obiadu.

Jacentowa, która od kilku minut kręciła się nieustannie około stołu i, patrząc na posuwające się wskazówki zegara ściennego, mruczała do siebie: „z zupy pomidorowej zrobi się jakaś breja, kartofle na nic zdębieją, zrazy wyschną na wióry“ — teraz, na to poruszenie księdza Jana, wybiegła z niezwykłą na swój wiek żywością do kuchni, wykrzyknąwszy na odchodnem:

— Daję obiad!

Ale ksiądz Jan usiadł na dawnem miejscu.

— „Na Chrystusową mękę cię błagam, w imię twej matki i siostry, w imię twego duszpasterstwa!“... — przypomniały mu się naraz słowa listu Jadwigi i stanęły przed oczyma, jakby wypisane ognistemi głoskami. — Jakże słabem stworzeniem jest człowiek — po-

myślał — jak wiele znaczenia przypisuje sądowi świata, wbrew nawet głosowi swego sumienia, skoro ja, kapłan, zawahałem się na chwilę przed spełnieniem swego obowiązku, dla marnego względu: co powiedzą? Muszę się z tego wywnętrzyć przed mym powiernikiem.

Z szuflady biurka wyciągnął grubą, oprawną, do połowy zapisaną księgę, otworzył ją i począł w niej kreślić swą spowiedź przed sobą samym. Ksiądz Jan, oprócz staruszki Jacentowej, poczciwej z kośćmi, ale ograniczonej babiny, nie miał już przy sobie nikogo z blizkich, przed kim mógłby się zwierzyć. Ukochana jego mateczka porzuciła go już — dla lepszego żywota. Spoczywała od lat paru na cmentarzyku wiejskim, w dużym, murowanym grobie, na którego płycie błyszczał złocony napis: „D. O. M. Grób rodziny księdza Jana Rolskiego.“ W dużym tym grobie ksiądz zarezerwował miejsce dla siebie. Ojciec odumarł go, gdy był małym chłopcem, braci nie miał. Jedyną siostrę wychował sam i wykształcił starannie, poczem wybrał jej towarzysza dozgonnego, wywianował ją i oddał wybranemu, który ją wywiózł do swego gniazda — gdzieś w okolice Wilna. Pozostawszy samotnym, ksiądz Jan znalazł ujście dla swych zwierzeń w pisaniu dziennika, dość szczegółowo prowadzonego. Dziennik miał swe specyalne przeznaczenie: miał on być odbiciem doskonalenia się duchowego jego autora. Z tą myślą ksiądz Jan zapisywał tu każdą pokusę zwalczoną, każde pozbycie się dawnej wady, każdą walkę duchową, prowadzoną z sobą, i jej rezultat, każde postanowienie uczynione i jego spełnienie lub spełznięcie na niczem. Nie było tu ani śladu chwalby z dobrych czynów, ani odrobiny pobłażliwości dla siebie samego... Była to znamienna i ciekawa samokrytyka, rzadka autoanaliza.

Jacentowa, weszedłszy do jadalni z dymiącą zupą, aż jęknęła na widok pana, zajętego pisaniem.

— Już, Boże odpuść! rozpoczęła się ta pisanina, to się i do nieszporów nie skończy... Marna moja dola!

Ksiądz nie słyszał biadań gospodyni.

Dość szczegółowo, nie wymieniając jednak nazwiska, zapisał fakt otrzymania listu, wrażenie wywarte przezeń, wreszcie chwilowy zamiar wycofania się z tej sprawy. Zajęło mu to trochę czasu. Jacentowa zupełnie zwątpiła o tem, że ksiądz dziś będzie jadł obiad, obojętnie więc patrzyła na stygnięcie zupy na talerzu, wyszeptała tylko z rezygnacyą:

— Ha, trudno, wszystko na nic!

Skończywszy pisanie, ksiądz Jan przypomniał sobie o prośbie zniszczenia listu, i jakkolwiek był pewny, że u niego byłby w bezpiecznem zupełnie schowaniu, to jednak zastosował się do życzenia Jadwigi. Podszedł do pieca, odsunął drzwiczki, przez które widać było żarzące się jeszcze węgielki, i, odsunąwszy szyber, rzucił pismo na węgle. Papier kurczył się, jakby go mięła niewidzialna ręka, syczał, czerniał, aż wreszcie płomień objął go wokół, podrzucił w górę, liznął raz i drugi długim językiem i cisnął szczątki już tylko.

Zamknąwszy szyber i drzwiczki, ksiądz podszedł do stołu jadalnego i, zmówiwszy krótką modlitwę, zabrał się do spożywania zupy.

— Zimna! — stęknęła Jacentowa.

— Nic nie szkodzi!—zapewniał ksiądz.

Uspokojona tem babina poszła po następną potrawę: zrazy z kaszą, które za chwilę znalazły się na stole.

— Gorące, pyszne! — zapewniała.

Ksiądz Jan, przełknąwszy z trudem parę łyżek zupy (jakoś zupełnie nie miał apetytu), nadkroił zraza, zjadł kawałek, poprawił łyżką kaszy i — wstał od stołu.

— Niedobre, jegomościuniu? — z nieudaną trwogą zapytała Jacentowa.

— Doskonałe, znakomite, jak zwykle, ale nie mogę jeść, nie mam apetytu. Zostawcie na wieczór.

— O ja nieszczęśliwa! że ja też nigdy nie mogę dogodzić! Żebym się Boga nie bała, tobym dziś za służbę podziękowała — dogadywała, obrażona na punkcie kulinarnej swej wiedzy, gospodyni.

Ksiądz Jan nie zdawał się słuchać biadania.

W tej chwili rozległ się dzwon, wzywający na nieszpory. Kapłan podążył na swe stanowisko.

Po nieszporach lud zgromadzony już nie dziwił się zachowaniu się swego proboszcza: potrzebującym rady udzielał jej właściwie, gdzie mógł pomódz lekiem lub ofiarną dłonią—pomógł. Poczem odbył lekcyę katechizmu z małemi dziećmi; wyróżniającym się postępami rozdał podarki: medaliki i obrazki Świętych.

Już się też i zmierzchać poczęło. Z błogosławieństwami i dziękczynieniem rozchodzili się starsi i dzieci po domach. Ksiądz Jan wrócił na plebanię, kazał Jacentowej nastawić samowar a parobkowi przygotować konie i bryczkę do wyjazdu.

— O siódmej pojedziemy — objaśnił.

— A dokąd, jegomościuniu? — zapytała staruszka ciekawie.

— W stronę... miasta — jakby niechętnie, jakby wahając się, odpowiedział ksiądz Jan, poczem poszedł do swego pokoju, zapalił lampę i wyjąwszy z biblioteczki „Żywot Jezusa Chrystusa“ Veuillota, zatopił się w czytaniu.

Wkrótce też Jacentowa podała herbatę, ksiądz wypił duszkiem szklankę dymiącego się ukropu i zapytał o godzinę.

— Za kwadrans siódma.

— A konie?

— „Ładuje“ już, lada chwila zajedzie.

Punktualnie o 7-ej wieczorem ksiądz Jan wyjechał z Kalinowa.

— Do miasta! — zawołał do woźnicy.

Ten świsnął, trzasnął z bata, konie rączo pomknęły.

Pomimo, że nie było jeszcze sanny, śnieg bielił się na drodze i polach, dając jasny, wybitny refleks na tle pochmurnego zimowego wieczora.

Wkrótce wjechali na szosę, po której jeszcze rączej pomknęły konie. Wtem, na lewo od szosy, ukazała się nowa droga.

— Tędy do Niespodzianki—pomyślał ksiądz Jan.— Tu powinienem zsiąść i pójść pieszo. Ale, skoro ostrożność, to ostrożność. Gdybym tu wysiadł i stąd poszedł w drogę, ten chłopiec odrazuby zrozumiał, że idę do Niespodzianki; byłoby to wszystko jedno, co pojechać z nim od razu na miejsce. Tego nie skombinowała panna Jadwiga, radząc mi tylko te dwie wiorsty pójść pieszo. Gdy tymczasem, zostawiwszy parobka z końmi w karczmie przydrożnej, pewny będę, że się nie domyśli dokąd pójdę. Będzie sądził, żem się wybrał do miasta.

Tak rozmyślając, ksiądz Jan usłyszał za sobą wołanie: „Na bok! na bok!“ Strwożony krzykiem pa-

robek skręcił bryczkę z takim pośpiechem, że o mało nie wjechał wprost do rowu.

Z hukiem, brzękiem i świstem przemknął przed nimi dziwny jakiś wehikuł, rodzaj omnibusu, czy amerykana.

— Kto to przejechał? — zapytał ksiądz parobka.

— To te „harendarze“ z Niespodzianki — odrzekł z odcieniem pogardy chłopiec.

Ksiądz doznał dziwnego wrażenia; było to coś jakby przeczucie, że z odjazdem tej znikającej im z oczu bryczki rozpoczyna się dziwna jakaś gra o los i życie człowieka, gra, w której i on przyjmie za chwilę udział, może decydujący...

W pomroce wieczornej zamajaczyły mury jakieś. To karczma.

— Stój! Zajedź przed karczmę!

Chłopak spełnił rozkaz.

— Wyprzęgnij konie, zaprowadź je do stajni i napój. Sam się ułóż na bryce i czekaj mego powrotu. Masz tu na piwo i stajenne.

Ostatni frazes najbardziej przemówił do przekonania chłopca, schwycił pieniądze w garść, pocałował księdza w rękę, poczem zawrócił bryczkę na podwórze.

Ksiądz Jan zawrócił w stronę, z której przyjechał i pośpiesznie iść począł. Sutanna oraz długa burka utrudniały mu pochód, po śniegu obślizgłym obsuwały się nogi; nie zważał jednak na nic. Szedł samym środkiem szosy krokiem pewnym i pośpiesznym. Niekiedy o wyżłobiony „frachtami“ przepaścisty wybój potykał się, to znów o duży kamień szosowy uderzał się boleśnie nogą; nic go to jednak nie powstrzymywało w wędrówce do celu.

Wiedząc, że już nie zastanie gospodarzy, chciał jak najprędzej stanąć w Niespodziance i raz nareszcie usłyszeć to, co ma mu powiedzieć sierota; pocieszyć ją, natchnąć odwagą, rezygnacyą i męstwem, a potem wrócić zaraz do domu.

Tak idąc, znalazł się wreszcie na zakręcie, skąd droga szła prosto do Niespodzianki. Na skręcie tym stał Krzyż drewniany. Ksiądz Jan przeżegnał się i począł szeptać: „Kto się w opiekę...“

Droga boczna okazała się jeszcze przykrzejszą i uciążliwszą do przebycia. Mróz zelżał zupełnie, więc wygórowane poprzednio, stwardniałe grudy ziemi zapadały się pod nogą przechodnia. Ksiądz Jan od czasu do czasu po kostki zapadał w lepką, zbłoconą masę śniegową. Spróbował iść bokiem drogi; jeszcze gorzej. Szedł więc już, jak poprzednio, wciąż środkiem, kierując się śladem kół i torem wybojów.

Niebo wciąż było chmurne, bez jednej gwiazdy, zamiast blasków, zsyłające na ziemię jakieś mgliste, niezdrowe opary. Księdza Jana, pomimo całego poświęcenia się i miłości bliźniego, ogarniało chwilami zniechęcenie wraz z obawą, że się ta forsowna wyprawa na nic może nie przyda. Jeżeli Jadwini nie udało się odprawić służącej, co jej odpowie, gdy go zapyta o cel przybycia. Będzie musiał kłamać, a ta konieczność, przeciwna prawej jego naturze, wydała mu się wstrętną.

— Jeżeli służąca będzie w domu, czy znajdę chwilę na rozmówienie się z Jadwigą? A choćbym ją znalazł, służąca, po powrocie opiekunów z miasta, ostrzeże ich. Zamiast więc naprawić zło, mogę jeszcze pogorszyć położenie biedaczki...

Pomimo jednak tych myśli, szedł wciąż naprzód, potykając się co chwila. Niespodzianka musiała już być blizko. Od dawna słyszał ujadanie psa, dziwne jakieś, zajadłe; teraz dawało się ono słyszeć z każdą chwilą wyraźniej, czyniąc takie wrażenie, jakby pies napadł na kogoś i nie dawał dostępu. Za chwilę w ten sposób powita i nowego przybysza... A może też, zwabiona ujadaniem psa, wyjdzie na spotkanie sama Jadwiga... Nagle ujadanie psa przeszło w straszliwy skowyt zranionego śmiertelnie zwierza, poczem wszystko umilkło.

Ciszy wieczornej nie mąciło już nic zgoła. Tylko wiatr począł się zrywać, zrazu lekkim podmuchem, potem coraz gwałtowniej. Poszarpane przezeń strzępy chmur odsłaniały od czasu do czasu rąbek księżyca, rozwidniając mrok i opary. W księżycowym blasku, przed wzrokiem księdza Jana, zamajaczyły drzewa i domostwa Niespodzianki. Jeszcze chwil kilka, a znajdzie się u celu podróży. Naraz, dziki krzyk, tym razem już nie psa, lecz ludzkiej istoty, zmącił ciszę wieczorną, — krzyk targający wnętrzności, mrożący krew, krzyk rozpaczny jakiś, zdławiony, chrapliwy i przechodzący w łkanie beznadziejnej zaguby.

Księdzu Janowi włosy powstały na głowie, uczuł ostry, przenikliwy, piekący ból w piersiach. To wada sercowa, na którą cierpiał od dawna, dawała teraz znać o sobie. Nadludzką siłą przemógł ból fizyczny i przywołując przytomność wyszeptał:

— „Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!“

Księdzu Janowi słowa te mimowoli przyplątały się na usta. Lecz czyż w istocie stało się tam coś strasznego?... czy naprawdę słyszał ten krzyk przeraźliwy? Nie, nie, to skutek rozgorączkowanej wyobraźni; to ten szatański korowód wyjącego wichru wywołał takie dziwne złudzenie słuchowe...

A wicher, jakby mszcząc się za zniewagę, coraz srożej się miotał, gnąc do ziemi przydrożne drzewiny, zasypując mokrym śniegiem oczy.

Ksiądz Jan, dobywając sił, już nie szedł, ale biegł. Przebiegł już bramę. Oto dziedziniec, willa, a nad nią szyld olbrzymi, na którym złotemi literami wypisano: „Niespodzianka“.

W tej chwili właśnie księżyc znów przedarł się przez zastępy chmur i łagodnym blaskiem oświetla wszystko dokoła. Przed samym gankiem, nieopodal pierwszego stopnia, leży ociekający krwawą posoką pies podwórzowy, martwy. Ksiądz Jan nie zatrzymuje się, nie namyśla, ale śpiesznie przebiega około padłego na stanowisku stróża; rozwiana burka ociera się o niego, barwiąc się od krwi czerwoną smugą. W oknach pokoju na lewo błyszczy jakieś światło i widać cień człowieka. Ksiądz Jan pewną, silną ręką pociska klamkę od drzwi wchodowych; na odgłos, sprawiony tym ruchem, w pokoju, gdzie było światło, słychać przyśpieszone kroki ludzkie. Ksiądz Jan, nie tracąc chwili czasu, rzuca się do drzwi pokoju na lewo. Ciemno tu już i pusto, widać, że człowiek uciekający zgasił światło.

Otwarte drzwi do drugiego pokoju wskazują drogę księdzu Janowi; przebiega i ten pokój — ale i tu również pusto i cicho. Niedomknięte w pośpiechu drzwi prowadzą prosto do ogrodu, dokąd też podąża ksiądz Jan.

Na śniegu, pokrywającym ścieżki ogrodowe, wyraźnie odbiły się świeże ślady dużych, podkutych butów,

znacząc drogę zbiegłego przed chwilą złoczyńcy. Gdzie on jest?... Ksiądz Jan wytęża wzrok w przestrzeń. Ogołocone z liści drzewa, jak szkielety olbrzymie, targane wichrem, zdają się zataczać koła jakiejś piekielnej sarabandy. Pod ich osłoną nie można się już teraz skryć ani schronić. To też ksiądz Jan w blasku księżycowych snopów widzi doskonale mężczyznę, dużego wzrostu, uciekającego pędem w dół ogrodu, równolegle do ośnieżonego stawu. Zgarbione jego plecy, niezgrabne ruchy, układ całej postaci wskazują w uciekającym człowieka z gminu.

Ksiądz Jan nie ma jednak ani siły ani ochoty do ścigania. Prędzej czy później dosięgnie go sprawiedliwość ludzka czy Boska. On ma tu ważniejszą czynność do spełnienia. Gdzie jest ta nieszczęśliwa, której krzyk słyszał, będąc tam jeszcze, na grobli? Przybywa zapewne dość wcześnie, aby ją uratować.

— Panno Jadwigo! — woła, ale odpowiada mu cisza absolutna. Wraca do pokojów i powtarza wołanie. Nic... cisza... martwota...

Przypomina sobie, że ma zapałki w bocznej kieszeni; zapala więc lampę, tę samą, którą zgasił niedawno złoczyńca; szkło jeszcze ciepłe. Teraz ze światłem już przebiega pokoje. Nigdzie — nikogo. W pokoiku, w którym błyszczało światło, stoi łóżko zasłane czyściutko, nad niem przybity dywanik, na którym zawieszony obrazek świętej Jadwigi, z zasuszonym wianeczkiem, wskazuje, że to pokój sieroty. Na stoliczku przy łóżku książka: „Zdrowaś Marya".

— Chwałaż Ci Boże!.. widać uciekła przed napastnikiem — uspokajał się ksiądz Jan, a znużony drogą i wrażeniami rzucił się na krzesło, aby chwilę od-

począć. Zaraz jednakże zerwał się, jakby podrzucony prądem bateryi elektrycznej.

Dziwne a niezbite przeczucie, że znajduje się w pobliżu trupa, zaświdrowało mu w głębi czaszki.

— Gdzie on ją zawlókł? — zapytywał teraz, zamiast przypuszczać możliwość ocalenia. Raz jeszcze wybiegł do ogrodu; nie udał się jednak w tę stronę, w którą uciekał nieznajomy, lecz skierował się w bok od domu.

— Morderca nie biegłby tam, gdzie zostawił trupa — pomyślał.

Zaledwie uszedł kilka kroków, struchlał, przypadł do ziemi i rzucił się do cucenia Jadwigi; ona to bowiem leżała w śniegowem, nawpół błotnem posłaniu, z odrzuconemi w tył rękoma, z oczami wyszłemi na wierzch, z wyrazem jakby grozy i wstrętu.

Na szyi jej, obnażonej z podartego na strzępy kołnierzyka, palce mordercy wyryły sine znaki. Na ten widok zjawiła się w umyśle księdza Jana nagląca potrzeba ratunku. Więc porywał garściami śnieg i kładł go na czoło umarłej, to znów wkładał go jej w usta, przywołując ją do dania znaku życia. Nic nie pomagało.

Pomyślał, że może ułożenie jej na łóżku i ogrzanie prędzej podziałają odżywczo. Powstał i wziął się do dźwigania. Ciało opadało mu z rąk, ze sztywnością rzeczy martwej, długie włosy plątały mu się między palcami i zaczepiły się nawet o kamień sygnetu, który nosił na wskazującym palcu. Udało mu się wreszcie ułożyć martwe zwłoki uduszonej na łóżku. Teraz, gdy ksiądz Jan przymknął jej otwarte powieki, wyglądała zupełnie jakby spała po przebytym dniu cierpień.

— A teraz co? — pomyślał. — Ha, trzeba dać znać władzy o wypadku i przywołać doktora. Może jeszcze nie wszystko stracone...

I niebawem puścił się w powrotną drogę.

Niespożyte, od Boga dane, musiał mieć siły ksiądz Jan, skoro w godzinę potem znów znalazł się w karczmie przydrożnej. Ledwie dobudził się parobka i ledwie mu wytłumaczył co ma czynić.

— Jedź natychmiast konno do miasta, do doktora, powiedz mu, że ksiądz prosi, aby natychmiast pojechał do Niespodzianki. Zbrodniarz jakiś udusił panienkę. Jedź duchem.

Wystraszony parobek, szczękając zębami, wsiadł „oklep" na konia i pocwałował do miasta, ksiądz Jan zaś sam zaprzągł do bryczki drugiego konia i puścił się w drogę. W pół godziny potem był już przed kancelaryą gminną.

Tymczasem chmury opanowały doszczętnie księżyc i nie dały mu wyjrzeć na świat Boży, a wiatr przypędził gdzieś od morza deszcz ulewny. W oknach mieszkania pisarza gminnego już było ciemno. Ksiądz Jan zastukał.

— Kto tam u starego licha po nocy się tłucze? — dał się po chwili słyszeć głos mrukliwy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odpowiedział ksiądz Jan.

— Na wieki! — odrzekł głos za szybami, znacznie już grzeczniej. — A co to ksiądz dobrodziej rozkaże?

— Proszę wpuścić... opowiem. W Niespodziance popełniono zbrodnię...

— Masz dyable kaftan! — mruknął głos, poczem dało się słyszeć chodzenie boso po pokoju i zaraz za-

błysło światło lampy. Wreszcie otworzono z klucza drzwi od mieszkania pisarza do sieni, odsunięto zasuwę od głównych drzwi i wpuszczono księdza Jana do wnętrza kancelaryi gminnej.

Pan pisarz, człowiek dość młody i inteligentny na pozór, nie wydawał się wcale ani złym ani zaspanym. Poczucie obowiązku brało już w nim górę.

Ksiądz Jan, nie mówiąc ani o liście, ani o swem tajemniczem zjawieniu się, streścił pokrótce sam fakt uduszenia Jadwigi przez nieznajomego, który w oczach kapłana uciekł przez ogród.

— Trudno to będzie dojść coś z tego — mruczał do siebie pisarz, który równocześnie z dziwnym jakimś wyrazem zaciekawienia przypatrywał się ręce księdza proboszcza.

Ten, opowiedziawszy wydarzenie, zabierał się do wyjścia.

— Chwilkę jeszcze, księże dobrodzieju — odezwał się teraz pisarz. — Czy nie mógłbym prosić o pokazanie mi tego sygnetu?

— Czemu nie — odpowiedział nieco zdziwiony ksiądz Jan, podając jednak żądany przedmiot.

— Kamień księdzu dobrodziejowi wyleciał z niego — mówił pisarz, oglądając pierścień.

— Tak? bardzo być może, to zapewne tam, w Niespodziance.

— Aha, tam... to dziwne, to dziwne! — mruczał już zupełnie do siebie pisarz, poczem, jakby przyglądając się uważniej pierścieniowi, podniósł go w górę ku lampie, szybkim ruchem ręki wyrwał kilka przywartych do zębów oprawy włosów długich, jasnych,

które, owinąwszy starannie na palcu, zwinął w mały moteczek, obłożył papierem i schował do portmonetki.

Cały ten manewr uszedł uwagi księdza, a pan pisarz, po załatwieniu się z włosami, oddał, z ugrzecznieniem mu właściwem, księdzu jego sygnet.

W pisarzu spoczywał bez zaprzeczenia niespożytkowany materyał na Lecocqa; wietrzył wszędy zbrodnię, nie wierzył nikomu i wszystko uważał za prawdopodobne.

— Ha! to trzeba będzie obudzić wójta, wziąć świadków i jechać do Niespodzianki. Prawdziwa to ci... niespodzianka.

Ksiądz Jan, pożegnawszy się z pisarzem, podążył ku domowi, gdzie się też wkrótce znalazł. Parobek także dopiero co powrócił.

— Cóż, doktor?

— Pojechał niebawem.

— Dobrze, idź spać.

Nad ranem dopiero ksiądz Jan usnął snem kamiennym.

Jacentowa była niezmiernie zdziwiona nazajutrz, gdy jej pan nie wstał z rana o zwykłej godzinie. Już organista przysyłał dowiadywać się, czy dziś Mszy nie będzie, a proboszcz śpi i śpi. Tego jeszcze nigdy nie bywało. Jacentowa zna respekt dla osoby duchownej, ale nie wytrzyma i obudzi proboszcza. Prawda, że wczoraj około północy wrócił do domu, ale nieraz się zdarzało, że i nad ranem wracał od chorego, a jednak nigdy tak nie zaspał. Delikatnie więc, modulując swój mrukliwy organ, przemawia:

— Księże dobrodzieju... księże proboszczu... już dziewiąta... czas na Mszę...

Ksiądz Jan to słyszy, bo otwiera podsiniałe oczy, odrywa głowę od poduszki, chce za nią dźwignąć cały korpus, ale nie jest w stanie tego uczynić; głowa opada mu bezwładnie, a wyraz cierpienia osiada na twarzy.

Jacentowa ani rusz nie może skombinować, co się z księdzem dzieje.

— Proszę jegomościa, organista przysyłał zapytać, czy dziś Mszy nie będzie, bo chciałby pojechać do miasta.

Ksiądz rozpoczyna na nowo te same usiłowania z tym samym skutkiem. Spieczone gorączką wargi wyszeptały wreszcie z trudnością:

— Nie mogę... chory jestem... nie mogę...

— Chory! to znowu co innego! Biedny jegomościulek! A niechże też organista jedzie duchem do miasta, kiedy mu się śpieszy, i niech przyśle doktora— mruczała Jacentowa, śpiesząc sama do mieszkania sługi kościelnego.

W parę godzin potem przy łożu chorego znalazł się doktor. Staruszka z trwogą czekała na decyzyę.

— Niema nic niebezpiecznego. To silna influenza. Lekarstwo przyślę wam z miasta. Trzymać pana w cieple, a na posiłek, gdy zażąda, dać polewkę z wina. Najdalej pojutrze będzie zdrów, tylko niech się wystrzega zaziębienia.

— Mój Boże, że też to na takiego godnego proboszcza musiała spaść taka heretycka choroba, co to jej nijak nawet wymówić nie można! — mruczała do siebie Jacentowa po odjeździe doktora. Nie odstępowała ani na chwilę łoża chorego, to podając lekarstwo, to spełniając polecenia, dawane nieprzytomnie, to poprawiając poduszki.

Przybył też organista, komunikując Jacentowej nowinki miejskie.

Na trzeci dzień z rana ksiądz Jan raźno zerwał się z łóżka i zagadnął ucieszoną Jacentową:

— Która godzina?

— Siódma wybiła, proszę jegomości.

— Czas na Mszę. Tymczasem każcie przygotować konie do jazdy. Pojadę do Niespodzianki dowiedzieć się o zdrowiu biednej sieroty.

— Panienka nie żyje, onegdaj ją krajali nieboraczkę, a wczoraj już pochowana.

— Jakto wczoraj, kiedy wczoraj dopiero był ten napad na nią? Co wy mówicie, Jacentowo?

— Napaść była w niedzielę, a dziś jest środa... wiem ja dokumentnie co mówię, mój jegomościuniu. Dobrodziej był chory przez te dwa dni i o Bożym świecie nie wiedział. Dziwna bo też to choroba, nijak jej wymówić nie mogę.

Ksiądz Jan skombinował wreszcie, że Jacentowa mówiła prawdę. Nie miał po co jechać do Niespodzianki, nie zastanie już Jadwigi przy życiu, ani odda ostatniej posługi jej zwłokom. O ile zaś będą potrzebowali jego zeznań, zgłoszą się chyba do niego sami.

Jakoż tak się stało. Po południu tego samego dnia, gdy ksiądz Jan dźwignął się z łóżka, na plebanii zjawił się sędzia śledczy ze swoim pisarzem. Sędzia był to człowiek młody i bardzo ugrzeczniony.

— Przepraszam najmocniej księdza proboszcza — rzekł — że go nachodzę w domu, ale wiadoma mu sprawa zabójstwa na terytoryum Niespodzianki jest nadzwyczaj ważną i nie cierpiącą zwłoki, a ksiądz jest w niej najważniejszym... świadkiem... Wiedząc o nie-

dyspozycyi księdza, wolałem, po drodze, wstąpić tu osobiście, niż narażać księdza dobrodzieja na jazdę do miasta...

— Ależ nie potrzebuje się pan tłumaczyć: rad będę, mogąc mu usłużyć i przyczynić się do wymierzenia sprawiedliwości nad zabójcą biednej ofiary.

Obecni usiedli, pisarz zabrał się do notowania zeznań, a inkwirent rozpoczął badanie.

— Z zeznania pańskiego, złożonego w kancelaryi gminnej w nocy zaraz po popełnionem zabójstwie, wiemy już, żeś pan późnym wieczorem był w willi zwanej Niespodzianką. W jakim celu?

— Podążyłem tam na wezwanie ś. p. Jadwigi, otrzymawszy od niej list.

— Czy nie mógłby mi go ksiądz okazać?

— Listu tego nie mam... spaliłem go zaraz.

— Aha.... — tu brwi inkwirenta ściągnęły się. — Kto panu oddał ten list?

— Jakaś obca, nieznajoma mi kobieta.

— Aha, nieznajoma... — Zapanowała długa chwila milczenia.—Do Niespodzianki przybyłeś pan końmi czy pieszo? — podjął po chwili badanie.

— Pieszo. Konie zostawiłem w karczmie.

— Ależ niepogoda, jaką mieliśmy w niedzielę wieczorem, nie sprzyjała bynajmniej spacerowi.

— W tej mierze zastosowałem się tylko ślepo do życzenia, zawartego w liście denatki. Ona to prosiła mnie o jak największą tajemnicę.

— Tak samo zapewne jak i o spalenie listu? — wycedził z pewnym odcieniem ironii inkwirent.

— Tak, właśnie — spokojnie odpowiedział ksiądz.

— Gdyś pan wchodził do willi, czy nie rzucił się na pana pies podwórzowy?

— Nie, zastałem tylko przed gankiem martwe jego zwłoki. Morderca ś. p. Jadwigi musiał zabić i psa. Skorom tylko skręcił z szosy, usłyszałem ujadanie, a następnie skowyt przeraźliwy ranionego śmiertelnie zwierza, potem wszystko ucichło... aż wreszcie powietrze rozdarł straszliwy krzyk duszonej ofiary.

— I to pan słyszałeś?

— Tak, jak pana słyszę, panie sędzio.

Po twarzy inkwirenta przebiegł kurcz nerwowy.

— Widziałeś pan mordercę? — zagadnął nagle.

— Gdym na odgłos kroków uciekającego przedemną zbrodniarza wypadł do ogrodu, widziałem go, tyłem do mnie obróconego, pędzącego w dół ogrodu...

— Pośpieszyłeś pan za nim?

— Nie, byłem nazbyt zmęczony, a przytem wydawało mi się daleko ważniejszem nieść pomoc napadniętej.

— Jak wyglądał uciekający?

— Był to mężczyzna wysoki, ciężki, niezgrabny.

— Czy pan słyszał o pogłoskach co do nieporozumień między denatką a jej opiekunami?

— Słyszałem.

— Czy pan nie znajduje pewnego podobieństwa między osobą uciekającego a... opiekunem ś. p. Jadwigi?

— Wcale nie znajduję. Morderca czynił wrażenie człowieka z gminu, pan Żywski zaś, bądź co bądź, do takich nie należy.

— W tym względzie nie myli się pan. „Alibi" Żywskich jest zupełnie skonstatowane: noc całą przepędzili w mieście, na imieninach jednego z przyjaciół.

— Więc pocóż pan mi zadaje te pytania?

— Wiele dróg wiedzie do odkrycia prawdy. A teraz czy nie mógłbym prosić o pokazanie mi sygnetu, tego, który pan nosi zwykle na palcu wskazującym.

Ksiądz, zdziwiony nieco, podniósł się z krzesła, podszedł do stoliczka, na którym położył sygnet, jako niewygodny do noszenia wskutek braku kamienia, i podał go inkwirentowi. Ten bacznie obejrzał go na wszystkie strony.

— W oprawie tkwi jeszcze parę koniuszczków włosów złotawych, takich jakie miała nieboszczka, a pisarz gminny z tej samej oprawy wyjął ich kilka; oto są — mówił dobitnie sędzia, okazując księdzu włosy w zwitku papieru.

— Tak, przypominam sobie: gdym przenosił zamordowaną z ogrodu do pokoju, między palce zaplątały mi się bujne jej włosy, tak, że musiałem je odrywać, i wtedy to zapewne ząbki oprawy pierścienia zerwały pęczek tych włosów.

— A gdzie pan zgubił kamień?

— Zapewne tam, w ogrodzie.

— Nie, znaleźliśmy go około łóżka, na ubraniu zmarłej. Proszę sprawdzić, czy ten sam?

Inkwirent wyjął z kieszonki kamizelki kamień, który przypasował do oprawy.

— Ten sam — zapewnił ksiądz. — Musiał widocznie wypaść w ubranie zamordowanej, a potem z niem razem odrzuciłem go na krzesło.

— Tak, to dość prawdopodobne — zauważył dziwnym tonem inkwirent, poczem ponownie zagadnął księdza:

— Jak pan był ubrany owego wieczora?

— Miałem tę samą sutannę i burkę.

— Nie mógłbym jej zobaczyć?

— Ależ najchętniej — odpowiedział, coraz mocniej zdziwiony indagacyą ksiądz Jan, i nie czekając na Jacentową, sam podszedł do wieszadeł, wskazując burkę.

Strapiona chorobą księdza, Jacentowa nie brała się przez te dwa dni do żadnych porządków: burka więc wisiała zabłocona i wytarzana.

Inkwirent, pochwyciwszy burkę, zaczął jej przypatrywać się bacznie. Wierzch do połowy pokryty był gęstą, zaschłą warstwą błota, poza tem nic nie zwracało uwagi; inkwirent odwrócił burkę na drugą stronę i spojrzawszy na dolną część podszewki, wydał lekki okrzyk. Podszewka była zamazana krwią.

— Co znaczy ta krew na podszewce? czy nie zechciałby mnie pan objaśnić?

— Przechodząc około zabitego psa, musiałem powalać się jego krwią — odparł najspokojniej ksiądz. — Uważam jednak — dodał po chwili — że badanie pańskie dziwny przybiera kierunek: wydajesz się pan posądzać mnie o morderstwo?! Ale daleko pan jesteś od prawdy: porównaj tylko na miejscu spełnienia zbrodni ślady nóg moich i mordercy. Ślady stóp dużych, biegnących w dół ogrodu, wskażą panu drogę, którędy uciekł morderca. W tym kierunku szukać go wypada.

— Pan zdaje się zapominać, że od niedzieli w nocy aż do wtorku rano padał deszcz, który zatarł wszelkie ślady. A prawda... mógł pan o tem zapomnieć: pan był chory... Nie ma jednak pan racyi gniewać się na mnie... spełniam tylko moją powinność. Prawo nie zna różnicy osób ani stanów. Najnieprawdopodobniejsze kombinacye, w oświetleniu faktów spełnionych,

stają się nieraz niezbitym pewnikiem. Na dziś jednak badanie ukończyłem. Pozwoli ksiądz przesłuchać gospodynię?

— Proszę, i owszem.

Przywołana Jacentowa, wystraszona badaniem, oświadczyła, że jak żyje nigdy w sądach „nie stajała", świadkiem nie była i nie wie co ma gadać... Wydawała się nieprzytomna zupełnie, na wszystko odpowiadając:

— Nie wiem, nie nie wiem!

W ten sposób odpowiedziała na zapytanie, czy jej pan odebrał w niedzielę jaki list i czy go spalił: „nie wiem, nie widziałam". Niczego więcej nie można było dowiedzieć się od niej.

Skończywszy badanie, inkwirent powrócił do miasta, skąd zaraz wysłał obszerny raport do swojej władzy.

* * *

Mroczyło się już, dzwoniono na Anioł Pański, gdy parobek dał znać księdzu Janowi, że jakiś człowiek pragnący się wyspowiadać stoi przed kościołem. Ubrawszy się odpowiednio, ksiądz Jan wziął klucze od kościoła i podążył wyspowiadać nieznajomego. W zapadającym mroku wieczornym przed bramą kościelną stał z odkrytą głową wysoki jakiś mężczyzna, licho i nieodpowiednio do pory roku ubrany. Widok tego człowieka dziwne wywarł wrażenie na księdzu Janie. Nie znał go wcale, nie widział nigdy tej twarzy ziemistej, pooranej zmarszczkami, tych oczu dziko z pod krzaczastych brwi patrzących i opuszczających się w dół co chwila, a przecież postać jego czyniła na nim wra-

żenie znajomej i niezapomnianej. Klucz zgrzytnął w zamku, otwarły się podwoje kościelne. Nieznajomy ciężkim, niezgrabnym krokiem posunął się pierwszy i nagle — ksiądz Jan drgnął, jakby tknięty iskrą elektryczną; teraz go poznał, to był *on, tamten,* co uciekał w noc niedzielną w dół ogrodu z willi Niespodzianki.

Nieznajomy przypadł tymczasem twarzą do podłogi kościelnej i pozostał tak — nieruchomy.

Ksiądz Jan długo się modlił przed wielkim ołtarzem, zanim wszedł do konfesyonału, przed którym dawno już klęczał petent. Wszedł wreszcie, zajął swe miejsce, uczynił znak Krzyża nad petentem, przyłożył ucho do kratki i począł słuchać.

. . . .

Długo, bardzo długo trwała spowiedź, równie długa była potem nauka kapłana... W kościele nie było nikogo, oprócz tych dwóch ludzi, a przecież i petent i kapłan przemawiali do siebie tylko szeptem, dziwnie przesiąkłym łzami i bólem, choć cichym... Szeptali, jak gdyby się bali, aby te ściany wiejskiego kościołka nie usłyszały tajemnicy, jaka może nigdy nie obiła się jeszcze o kratki tego konfesyonału; szeptali w mroku, ponurym kirem okrywającym obrazy Świętych i stacye Męki Pańskiej.

Nareszcie — kapłan wstał. Olbrzymia postać grzesznika, czołgająca się u stopni konfesyonału, zmalała; natomiast figura kapłana w białej komży zdawała się potężnieć i róść w górę. Po wyjściu z konfesyonału, ksiądz, odmówiwszy modlitwę, zwrócił się do leżącego bez ruchu grzesznika i rzekł z cicha, dobrotliwym głosem:

— Osłabłeś, bracie, zbierz siły, podaj mi rękę, oprzej się na mojem ramieniu.

Nieznajomy wstał, a widząc wyciągnięte ku sobie ręce kapłana, przypadł do nich i gorąco całować je począł.

— Uspokój się, bracie, uspokój... Chodź ze mną na plebanię... Ogrzejesz się, posilisz...

— Nie, nie mogę... nie mogę... — chrapliwie i jakby gniewnie odparł nieznajomy. — Niebezpiecznie tu, pójdę w drogę...

— Jak uważasz, bracie: zostań, jeśli możesz; idź, gdy chcesz.

Stanęli przed plebanią.

— Ja w drogę! — mruknął nieznajomy.

— Z Bogiem! — odrzucił ksiądz Jan.

Nieznajomy poszedł w mrok zapadającej nad nim nocy posępnej, chmurnej, bez jednej gwiazdy na niebie.

* * *

Wróciwszy na plebanię, ksiądz Jan zapadł w zadumę, niezbyt przykrą widocznie, gdyż uśmiech krasił jego dobre oblicze, oczy spoglądały w górę jasne, czyste, świetlanym blaskiem płonące. Po chwili rozmysłu, wyjąwszy z szuflady dziennik, ksiądz Jan odszukał w nim zapisane w ostatnich dniach kartki, odwrócił kilka stronic w tył i wyrwał je z pamiętnika. Za chwilę spłonęły wszystkie w piecu.

— A możeby lepiej było spalić cały dziennik?... Szkoda mi go jednak, a nuż też nie spytają się oń wcale...

Ukląkł do wieczornych pacierzy, po których odmówieniu usnął niebawem snem spokojnym, krzepiącym.

* * *

W dwa dni potem na plebanię zjawił się ten sam inkwirent, w towarzystwie przybyłego z miasta gubernialnego towarzysza prokuratora. Obydwaj przybyli, a nawet i pisarz inkwirenta, mieli teraz niezwykle poważne miny.

— Może pan zechce — zwrócił się do księdza Jana inkwirent — wpłynąć na swoją gospodynię, aby zeznawała bardziej stanowczo, niż poprzednio. Do rozpaczy mogą doprowadzić te jej: „nie wiem“ i „nie wiem“. Nie podejrzewam bynajmniej pana, abyś jej wtedy zakazał mówić, lecz proszę obecnie, abyś, wytłumaczywszy jej ważność sprawy i odpowiedzialność za fałszywe zeznania, wpłynął na zmianę taktyki, która do niczego dobrego nie doprowadzi.

— Ależ najchętniej, objaśnię jej to wszystko i przywołam ją tu do panów.

— Jeżeli łaska, przyślij nam pan i swego parobka. Po jakimś czasie poprosimy tu i pana, wpierw jednak wybadamy tych dwoje.

— Nie zaniedbam zastosować się do życzenia panów.

W kwadrans potem, otrzymawszy od księdza należyte wskazówki co do odpowiadania na wszelkie pytania, mówienia prawdy i tylko szczerej prawdy, stanęli do protokółu Jacentowa i parobek. Tego ostaniego odosobniono, a badanie rozpoczęto od Jacentowej. Babina, tym razem, ośmielona przez księdza, od-

powiadała szczerze i bez zalęknienia. Po niej dawał zeznania parobek; były one również prawdziwe i niewymuszone. Wezwano nakoniec księdza Jana.

— Proszę pana — zaczął poważnie inkwirent — abyś zechciał szczegółowo opowiedzieć, coś pan robił w niedzielę, od chwili rzekomego otrzymania listu od ś. p. Jadwigi (co się nie potwierdza, gdyż opiekunowie zamordowanej zapewniają, iż denatka żadnego listu nie pisała i wysłać go nie mogła), aż do pańskiego zjawienia się w kancelaryi gminnej.

— Przykro mi bardzo, że nie mogę zastosować się do życzenia pańskiego, panie sędzio. Postanowiłem sobie nie zeznawać nic zgoła w tej sprawie.

— A toż dlaczego? — zapytali obaj indagujący.

— Ponieważ... tak sobie postanowiłem.

— Pan zapominasz, że to najgorszy system obrony! — rzekł sędzia. — We własnym interesie pan powinieneś mówić, gdyż inaczej...

— Inaczej?

— Wszystkie niejasne, nieskrystalizowane jeszcze podejrzenia, skierowane już w stronę pana, nabiorą prawie znaczenia pewnika i zwrócą się przeciw niemu całą siłą. Podejrzeń tych i poszlak, obciążających pana, mamy dość: pańskie dziwne zachowanie się w niedzielę po nabożeństwie nie uszło uwagi ludu; jazda wieczorna „w stronę miasta“, z zatrzymaniem się w karczmie; pozostawienie tam parobka z końmi i bryczką; pański spacer kilkogodzinny po słocie; powrót do karczmy w stanie opłakanym; rozkaz udzielony parobkowi jechania po doktora do miasta; zeznanie w kancelaryi, nagła choroba wreszcie; wszystko to mówi nie na korzyść pańską, ale wprost przeciwnie. A obok po-

szlak pośrednich mamy bezpośrednie dowody rzeczowe, świadczące niemylnie, iż w dniu spełnienia morderstwa byłeś pan w Niespodziance, i to bardzo blizko zabitej. Ten sygnet ze zgubionym kamieniem, który się znalazł obok zmarłej, ta oprawa ze szczątkami wyrwanych jej włosów, ta krwawa plama na pańskiej burce, którą, jak sam przyznałeś, miałeś pan na sobie wyjeżdżając, a na której — według zeznań pańskiej gospodyni — nie było „ani plameczki“, gdyś pan ją tu wkładał. To wszystko chcąc obalić, trzeba koniecznie mówić, tłumaczyć się, objaśniać. Inaczej, zwali się to na pana samego i przygniecie go niechybnie... Jeżeli pan chcesz skierować śledztwo ku osobie owego nieznajomego, któregoś pan widział jakoby uciekającego, postaraj się zgromadzić przeciw niemu poszlaki, udziel nam jakichś wskazówek, wprowadź nas na trop...

— O nieznajomym nie mam zgoła nic do powiedzenia.

— Dziwny upór...

Jeden z badających nachylił się do ucha drugiego i coś mu szepnął.

— Aha! — podjął inkwirent. — Mówiła nam Jacentowa (która rzeczywiście dziś była do niepoznania rozmowną), że pan masz zwyczaj pisania codziennie, zwykle przy końcu dnia, w grubej jakiejś księdze. Domyślam się, że to musi być dziennik, nieprawdaż?

— W istocie, prowadzę coś w rodzaju pamiętnika, ale niema tam nic ciekawego dla osób świeckich.

— Prosilibyśmy jednak o pokazanie nam tego dziennika.

— Służę panom — zbliżając się do biurka, od-

powiedział ksiądz Jan. — Oto jest — rzekł po chwili, podając im dużą księgę.

Obaj panowie pochylili się nad księgą i ciekawie, kartka po kartce, czytać ją zaczęli z zajęciem.

Upłynęła tak dobra godzina. W miarę czytania panowie inkwirenci okazywali pewne jakby znudzenie i zniecierpliwienie; kilkanaście jeszcze kartek, ostatnio zapisanych, przerzucili pobieżnie i zatrzymali się na dniu, w którym zaszła śmierć Jadwigi. Następujące po dacie tej kartki były już puste. Jeden z badających uczynił minę zawiedzioną; drugi, przeciwnie, wydawał się zadowolonym.

— W takim stanie duszy nie pisze się zwierzeń— mówił półgłosem do towarzysza — zresztą możeśmy się spóźnili z obejrzeniem dziennika, o czem się też przekonam zaraz — dodał głośno, ożywiony nagle nową jakąś myślą. Pośpiesznie, nerwowo przerzucał teraz jedną po drugiej czyste kartki pamiętnika, próbując, czy nie wypadają; nareszcie znalazł czego szukał. Z dziesiątek kartek luźno leżących odleciało od oprawy; porównał to miejsce z datą, na której przerywał się pamiętnik: kartki wylatujące odpowiadały właśnie tym, których brakowało. Teraz było jasne, że ksiądz Jan, przewidując rewizyę, wyrwał ostatnie kartki.

— Cóżbym dał za to, żebym mógł wiedzieć, co tam było napisane!

— Nie dość zręczny — szepnął podprokurator do inkwirenta — przewidując rewizyę, mógł napisać coś takiego, coby go usprawiedliwiało po części...

— Nie przyszło mu to do głowy, chociaż mnieby to nie zwiodło — równie cicho, ale stanowczo odpowiedział inkwirent.

— Tymczasem — odezwał się do księdza Jana — te wydarte kartki, to jeszcze jeden dowód więcej przeciwko panu.

— Niech będzie!

— Więc pan trwasz w swoim uporze milczenia? Dajemy panu pół godziny czasu do namysłu.

— Gdybyście mi panowie dali nawet dwadzieścia cztery, nie zmieniłbym swego postanowienia. Jest ono niezłomne.

— W takim razie zmienisz pan swój system obrony... w więzieniu.

— Jakto?

— Przeprowadziliśmy już korespondencyę z władzą biskupią i posiadamy jej upoważnienie, o ile z toku sprawy wypadnie, oddać pana pod sąd władzy świeckiej. Skorzystamy więc z tego prawa, a dla uniemożliwienia panu ucieczki lub też kroków rozpaczliwych, aresztujemy go tu natychmiast — wygłosił dobitnie i poważnie prokurator, wstając z krzesła i prostując swą wyniosłą postać. — Pisz pan stosowne postanowienie — dodał, zwracając się do pisarza.

— Nie myślę się opierać rozkazom władzy; ośmielę się tylko prosić o jedną łaskę.

— Mów pan, o co chodzi.

— Abym się mógł pożegnać z kościołem i cmentarzem, gdzie leży moja matka. To nie zajmie zbyt wiele czasu.

— Pragniesz się pan żegnać, jakbyś nie miał nadziei zobaczenia się z niemi... to dziwne. Wygląda to tak, jakby przyznanie się do winy — zauważył inkwirent.

— Czy mogę liczyć, że mi będzie wolno?...

— Ależ idź pan, idź, proszę, tylko nie baw zbyt długo. Panie — zwracając się do pisarza, rzekł półgłosem sędzia — uważajno pan z daleka na podsądnego.

Krótko trwało pożegnanie z kościołem, wielkim ołtarzem, kazalnicą i konfesyonałem, temi stacyami żywota kapłańskiego księdza Jana; równie krótkie było pożegnanie z mogiłą matczyną. Ksiądz Jan nie chciał się roztkliwiać, przeciwnie, zbierał całe męstwo na tę daleką, ciężką drogę, która go czekała w przyszłości.

W pół godziny potem, nie mówiąc nic nikomu z domowników, nie pożegnawszy się nawet z Jacentową, ksiądz Jan wsiadł, w towarzystwie trzech panów, do zamkniętego powozu i pojechał z nimi do miasta.

Kalinów stracił go na zawsze...

* * *

W kilka tygodni potem gazety dziwną wieść rozniosły po świecie: pod zarzutem zbrodni morderstwa oddany został pod sąd administrator parafii Kalinów, ksiądz Jan Rolski. Nikt się nie odważał do wieści tej dołączać żadnych komentarzy, ani domniemań. Lakoniczne wzmianki kończył nieodmiennie stereotypowy frazes: „Oskarżony odmawia wszelkich objaśnień“.

Jakiś czas przypuszczano stan nienormalny umysłu podsądnego. Lekarze jednak, zbadawszy go sumiennie, zaprzeczyli temu stanowczo.

W przeddzień sądzenia sprawy do celi więziennej księdza Jana przybył adwokat, mający go bronić z urzędu.

— Spodziewam się, że ksiądz dobrodziej nie odmówi przynajmniej mnie wyjaśnień.

— Zawiedziesz się pan, panie mecenasie. Niewinny jestem zbrodni, o którą mnie posądzają; ponad to nie mam nic do powiedzenia...

— Ależ gubisz się samochcąc, księże proboszczu. Dla własnego twego dobra proszę o te objaśnienia, nie zaś dla próżnej mej ciekawości. Ja pana nie zdradzę... Wszakże przed swoim obrońcą odkrywają głąb' duszy nawet złoczyńcy; dlaczegóż ty, księże proboszczu, którego niewinności jestem tak pewny, jak niewinności mych dziatek, nie chcesz mi zaufać?... Wskaż mi przynajmniej jedno: wskaż mi przyczynę twego milczenia i tego dziwnego uporu, z jakim odmawiasz wszelkich zeznań.

— Z tym najcięższa sprawa! — pomyślał sobie w duszy ksiądz Jan — ten dociera do samego jądra kwestyi: każe mi powiedzieć przyczynę milczenia. Jedno nierozważne słówko może zgubić całą sprawę. Jeżeli mu odpowiem: nie mogę, nie wolno mi mówić, domyśli się wszystkiego i skieruje poszukiwania we właściwą stronę; po nitce dojdą do kłębka: przypomną sobie o petencie, który przybył się spowiadać... odkryją wszystko... i to ja go zdradzę... ja, który przysiągłem Bogu grzebać w niepamięci tajniki konfesyonału!... Teraz gra najważniejsza! Baczność więc!... baczność!...

— Jak mam rozumieć długie milczenie księdza?

— Milczę i będę milczał, bo nie mam nic do powiedzenia.

Adwokat porwał się chmurny do wyjścia.

— Do wieczora będę czekał... na wezwanie księdza dobrodzieja.

— Napróżno!

Nazajutrz, wobec również dziwnego zachowania się księdza Jana na posiedzeniu sądowem, apatycznie przysłuchującego się zeznaniom świadków i mowie prokuratora, adwokat nie silił się na krasomówstwo i nie roztaczał zasobów erudycyi; był on jakby zmrożony i przybity zachowaniem się podsądnego.

Może dlatego właśnie powiedział, co mógł najlepszego: „Panowie sędziowie! Przed wami, w liczbie dowodów rzeczowych, leży dziennik, prowadzony skrupulatnie z dnia na dzień przez mego klienta. Zanim wydacie nań wyrok, zanim zadecydujecie o dalszym jego losie, wczytajcie się w te szczere, proste a tak głębokie w swej prostocie zwierzenia duszy czystej, obcującej z Bogiem i unoszącej się gdzieś w nadziemskie sfery; wczytajcie się, powiadam, w te rachunki sumienia, tak czystego, jak sumienie dziecka; w te rachunki, gdzie na dobro niebiańskich pożądań zapisuje się każda zwalczona pokusa, każde postanowienie nowego doskonalenia się, każda pozbyta wada; wczytajcie się w te kartki, od których zaleciało mnie, przy czytaniu ich, tchnienie jakiejś innej atmosfery, nieziemskiej, i powiedzcie wtedy, czy autor tych kartek mógł nie już popełnić, ale pomyśleć nawet o morderstwie!... Jeżeli mój klient jest winnym, niewinnych niema na świecie... Skończyłem.“

Ksiądz Jan uścisnął serdecznie dłoń swemu obrońcy, a na zapytanie sądu, czy ma co dodać do tej obrony, odpowiedział krótko:

— Ani słowa.

W parę godzin potem ogłoszony został wyrok. Podsądny uznany został za winnego morderstwa, popełnionego na osobie Jadwigi Milskiej, i skazany na pozbawienie wszystkich praw stanu, oraz na zesłanie do ciężkich robót na lat sześć, poczem na dożywotnie osiedlenie w Syberyi. Ze względu jednak na nieskazitelne życie podsądnego do chwili popełnienia morderstwa, sąd uznał za możliwe odwołać się do łaski Monarszej z prośbą o zmianę powyższej kary na dożywotnie osiedlenie w oddalonych miejscowościach Syberyi.

W terminie, oznaczonym przez prawo, ksiądz Jan nie podał apelacyi, wyrok zatem stał się prawomocnym. Skierowano go na drogę właściwą i, stosownie do przedstawienia, uzyskano zmniejszenie kary.

W rok niespełna po śmierci Jadwigi, jesienią jakoś, wysłano „byłego" księdza Jana, dziś skazańca, oznaczonego właściwym numerem, w daleką drogę.

Pisma rozniosły wieść o zapadłym wyroku, a ludziska pogadali, jak zwykle, i... zapomnieli. Nie zapomniała tylko zamieszkała gdzieś w ustronnym zakątku siostra księdza Jana, nie zwątpiwszy ani na chwilę o niewinności swego ukochanego brata i opiekuna. Otrzymała od niego w tym czasie dwa krótkie listy: pierwszy, gdy gazety doniosły o uwięzieniu go, w słowach: „Niewinny jestem!" drugi, gdy zapadł wyrok: „Cierpię niewinnie!" Wypłakawszy się serdecznie, z rezygnacyą przyjęła w końcu ten dopust Boży, pewna, że prędzej czy później niewinność księdza Jana wyjdzie na jaw.

* * *

Dziesięć lat przeszło księdzu Janowi na wygnaniu. Czas ten posrebrzył mu włosy i rozwinął chorobę serca, lecz serca tego, oddanego na usługi ludzkości, nie zmienił i nie zwarzył chłodem jego uczuć żarliwych względem Stwórcy i braci. W zapadłej sadybie, na dalekim kresie Syberyi, umiał stać się użytecznym i zaskarbić sobie szacunek. Usunięty od sprawowania obowiązków kapłańskich, oddał się natomiast, za wiedzą władzy miejscowej, leczeniu ludu środkami domowemi. Nie było tu lekarza, aż o mil kilka, felczer dbał tylko o zamożniejszych, ksiądz Jan więc miał wśród klasy uboższej dużo pacyentów. Zaprowadził także apteczkę podręczną ze środkami opatrunkowymi. Przed paru laty pochował poczciwą Jacentową, która ani słuchać nie chciała o zostaniu w kraju, gdy jej miano zabrać „księżulka". Pojechała z nim razem, pomagała mu w jego pracy i usługiwała, jak dawniej, aż wreszcie zmarło się staruszce, bez cierpień, bez skarg, a w żalu tylko, że zostawia swego pana samego. Opłakał ją ksiądz Jan serdecznie. Natomiast przyjął sobie, nie za sługę, lecz pomocnika, młodego chłopca, sierotę po jednym ze zmarłych tam współziomków.

Chłopca z dobremi w gruncie zasadami wykształcił, uzacnił, uszlachetnił, to też ten skoczyłby za niego w ogień i wodę. Mieszkańcy sadyby wszyscy błogosławili księdza Jana, nie mogąc dość nadziwić się jego dobroci i bezinteresowności. Zdrowym pisywał listy, chorych leczył; czasem dość było jego zjawienia się u łoża chorego, dość spojrzenia jego świetlanych źrenic, aby choremu lżej się już zrobiło. „To święty człowiek!" — głoszono naokół, oddając hołd cnocie i prawdzie, nawet wcielonej w postaci skazańca.

Na świecie była wiosna, ta krótka, ale upajająca wiosna krajów podbiegunowych. Nie przyszła ona, jak w krajach z klimatem umiarkowanym, zwolna, jakby się skradając, ale spadła od razu, kręcąc z miejsca kark zimie, topiąc śnieżne lawiny i lodowe zwały. Przyszła w całej potędze i krasie, z głośnym szumem przelewających się przez brzegi rzek i strumieni, z krzykiem ptactwa, z potokami snopów słonecznych, budzących w oka mgnieniu, zda się, roślinność i wegetacyę do życia. Światło przemogło wreszcie mroki, ciepło zwyciężyło chłody.

Po długim letargu zimowym ziemia zbudziła się rzeźko do życia.

Ksiądz Jan powrócił właśnie ze zwykłego swego obchodu po domach. W oczekiwaniu na powrót chłopca, posłanego do zarządu „wołostnego" po gazety i listy, usiadł sobie przed domkiem swym i zatonął wzrokiem w tym pięknym słonecznym, wiosennym festynie ziemi. O kilkanaście kroków od niego, u stóp stromego wzgórza, szumiał i pienił się potok, skrząc się miryadami ogników w słonecznej poświacie, a księdzu Janowi wydawało się, że to szumi i pieni się rzeka, tam gdzieś, gdzie mieszka jego siostra ukochana, gdzie ją — zda się, że tak niedawno — odwoził na własne jej gospodarstwo rozpromienioną, wesołą i szczęśliwą, a gdzie i on czuł się wtedy również szczęśliwym ze spełnienia ciężkiego zadania opiekuna. Znalazł dla swej pieszczotki zacnego, kochającego człowieka, powierzył skarb swój — siostrę, w jego ręce i nie zawiódł się na nim..

Co oni tam teraz robią? Jak wyglądają ich dziateczki? Siostra mu pisała kiedyś, że jeden, kubek w kubek, wdał się w wujaszka, nazwano go też Jankiem, a ojciec woła nań „Jonas"... Podobny do mnie... może mu Stwórca i los zgotuje podobny?... Niechże mu tylko da Pan i te siły do znoszenia. O, drodzy moi, czy też ujrzę was jeszcze, czy staniecie przede mną żywi, tak, jak was widzę w marzeniach... jak widzę teraz, gdy przymknę oczy?...

I przymknąwszy zmęczone powieki, ujrzał wszystkich swoich.

Z zadumy wyrwał go donośny głos chłopca, wołającego z daleka:

— Ho! ho! ojczulku! nienapróżno dziś chodziłem! Są gazety, jest i list, a gruby... „Zakazny"... musiałem się podpisać w księdze; a napominali mnie, żebym nie zgubił. Ho! ho! nie taki ja niedołęga!

— Daj, dziecię moje, daj list — żywo wyciągając doń rękę, zawołał ksiądz Jan. — Sam idź do izby, przekąś co; musisz być głodny po takiej drodze. Jak zjesz a wypoczniesz, pomyśl o obiedzie. Ja tu sobie jeszcze posiedzę.

Chłopiec oddał list i gazety, ucałował dłoń księdza Jana i, nucąc coś sobie, wbiegł do izby.

Ksiądz Jan drżącemi rękami otworzył kopertę. Była w niej mała tylko ćwiartka z kilkoma wierszami, napisanemi ręką siostry, i duży arkusz papieru, z marką u góry i pieczęcią urzędową u spodu. Księdzu Janowi chore serce poczęło kołatać.

„Bracie mój! Bóg jest wielki! Niewinność twoja wyszła na jaw. Załączam ci poświadczoną kopię zeznania, uczynionego przez istotnego mordercę ś. p. Jadwigi. Natychmiast po otrzymaniu tej wieści wysyłam list niniejszy; dojdzie on cię prędzej, niż zawiadomie-

nie urzędowe. Rehabilitacya twoja jest zupełna. Wracaj do nas! Wracaj!“

Ksiądz Jan przeżegnał się i szepnął:

— *Sit nomen Tuum benedictum!*

Poczem rozwinął arkusz z zeznaniem, które przebiegł pobieżnie, zatrzymując się tylko na nieznanych lub zapomnianych szczegółach. Brzmiały one tak:

„Proszę o zapisanie, słowo w słowo, mego zeznania w sprawie zamordowania ś. p. Jadwigi Milskiej... Wracałem z więzienia, w którem siedziałem dwa miesiące za udział w kradzieży. Wybrałem się do Niespodzianki, do mego znajomego, pana Żywskiego, z którym miałem nieraz różne geszefta... Dowiedziałem się, że mu nieźle idzie, i miałem nadzieję, że mi dopomoże... Byłem głodny, nie miałem grosza przy duszy. W karczmie za chustkę z szyi dano mi kielich wódki i kawał chleba... Z lepszą fantazyą poszedłem drogą do Niespodzianki. Ciemno było na dworze zupełnie, gdym tam zaszedł. W domu w jednem oknie tylko paliła się lampa. Z ogrodu dało się słyszeć szczekanie psa. Zbliżyłem się do ganku. Na odgłos mych kroków wyszła z sieni jakaś panienka i zapytała:

— Czy to ty, czcigodny księże proboszczu?

— Nie ksiądz — odpowiedziałem — podróżny jestem. Mam interes do pana Żywskiego.

— Niema go w domu, wróci aż jutro.

— A pani?

— I pani niema, niema nikogo, sama jestem w domu.

Po co ona mi to powiedziała...

W blasku księżyca widziałem, że młoda i ładna.

— Tem lepiej! — mruknąłem i rzuciłem się ku niej.

Z oczu widać wyczytała mi mój ohydny zamiar, bo cofnęła się, krzycząc:

— Trezor tu! weź cudzego!

Ogromne psisko wyskoczyło z za domu i rzuciło się ku mnie, wściekle ujadając i wyszczerzając kły. Panienka tymczasem wpadła do sieni, zatrzasnęła drzwi jedne, potem drugie i znalazła się w swoim pokoju. Gdyby miała tę przytomność i zasunęła drzwi z sieni na rygiel, albo tamte zamknęła na klucz, możeby nie było nieszczęścia... Zanadto dowierzała sile psa... Gdy skoczył mi do gardła, wyjąłem z kieszeni duży, składany nóż i wpakowałem mu go w gardło po samą rękojeść. Drgnął raz i drugi i zwalił się z ganku na ziemię. Wtedy pobiegłem do panienki...

Na odgłos otwieranych przeze mnie drzwi ratowała się ucieczką do ogrodu... Dopędziłem ją przy rogu domu... Schwyciłem ją oburącz...

— Będę wołała o pomoc... za chwilę przybędzie tu z miasta mój znajomy i odda cię w ręce policyi!...

Po co ona mi to mówiła?...

Tylko co wyszedłem z więzienia i miałbym znowu do niego powracać!... Za nic w świecie!...

Pochwyciłem ją znowu, a ona zaczęła gryźć mi ręce, szarpać za włosy, pluć w oczy. Wściekłość mnie zdjęła. Co siły starczyło ścisnąłem jej gardło prawą ręką... Wydała krzyk dziki, straszny... Nie zapomnę go nigdy... Bałem się, żeby nie powtórzyła raz jeszcze tego krzyku... Przydusiłem ją mocniej... Padła na wznak... nie było już z nią co robić...

Teraz — pomyślałem — mogę się grubo obłowić; wszedłem więc z powrotem do pokoju, w którym paliła się lampa, aby zrobić skrupulatną rewizyę. Zaledwiem

tu się znalazł, usłyszałem czyjeś kroki. Zagasiłem lampę i uciekłem do ogrodu.

. . . .

Nazajutrz dowiedziałem się o imieniu i nazwisku mej ofiary... Potem... potem... zdjął mnie okrutny strach, coś chodziło za mną dniem i nocą, szepcąc: „coś ty zrobił? coś ty zrobił?“... Nie miałem spokoju, dopóki jakiś drugi głos, we mnie samym, nie powiedział: „Ulży ci, gdy się przed kim poskarżysz... Ksiądz cię nie zdradzi... Idź do spowiedzi“... Poszedłem.

. . . .

Co to za ksiądz! co to za ksiądz! Ten mnie nie zdradzi... Pewny tego, śmiało poszedłem do miasta. Chciałem wyrobić sobie pasport i pójść gdzie do obowiązku.

— W czepku się rodziłeś — powiedział mi na powitanie urzędnik w powiecie — masz złodziejskie szczęście: krewniak twój, kawaler, nie mający innej rodziny, zostawił mająteczek w Odessie. Dostaniesz pasport, ale z napisem: „pod dozorem policyi“.

Obojętnym był dla mnie ten napis na pasporcie, gdym się przekonał, że urzędnik prawdę mówił. Spadek nie był wymysłem — odebrałem go gotówką.

Złote czasy nastały dla mnie w Odessie. Ożeniłem się, doczekałem się dziatek. Był chleb, nawet bułka... Żona dobra, dzieciaki ładne... Cóż, kiedy w jakimś dziesiątym roku pobytu, ni stąd ni zowąd, przyplątała się do człowieka jakaś tęsknota... Jedź a jedź do swoich... Spieniężyłem graty i przybyłem w te strony. Tu, dopiero tu, dowiedziałem się o skazaniu za

moją zbrodnię księdza proboszcza kalinowieckiego... Skąd mogłem wiedzieć, nie czytając gazet?... a ksiądz, spowiadając mnie, ani jednem słowem nie dał poznać, że jest wmieszany do tej sprawy... Ale teraz, gdym się dowiedział, nie mam już spokoju... I zbrodnia i ksiądz stają mi przed oczyma... Teraz nie mogę, nie chcę ściągać kary Boga na głowy moich dzieci: przychodzę tu sam, wyznając swą winę... Jam winien, jam jeden tylko winien! A tamten niewinnie skazany za mnie, to jakby święty!“

. . . .

Ksiądz Jan, w miarę czytania, czuł, że tętna serca biją mu coraz słabiej, że ogarnia go jakaś niemoc dziwna, lecz słodka...

— Oto dwie najszczęśliwsze chwile mego życia: tamta... wtedy... tam... gdym milczał... i ta... tutaj... teraz.

— Wracaj!... wracaj!... — zabrzmiały mu w uszach słowa siostry... i śpiewały słodką melodyą... — Wracaj — szczebiotały młode głosy jej dziatwy. — Wracaj — szumiała rzeka.

— Wracam... wracam... — wyszeptał z błogim uśmiechem ksiądz Jan i chciał wciągnąć w płuca powietrze, lecz już nie mógł... Głowa bezwładnie spadła mu na piersi.

Wrócił — po krótkiej, uciążliwej tułaczce — na łono wiekuistej światłości, spokoju i szczęścia. Wrócił — na łono Boga...

KONIEC.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki

w Warszawie, Nowy-Świat 41.

	Rs.	k
Anatomia głowy ludzkiej wraz z szyją. Wykład poglądowy z tekstem objaśn. d-ra med. M. Flauma	1	20
Antoszka. Hygiena ludowa. Trzeba dbać o zdrowie, aby się ustrzedz choroby	—	40
Bert Paweł. Pierwsze wiadomości z geometryi doświadczalnej w zastosowaniu do mierzenia odcinków powierzchni i objętości Ze 141 drzew. w teks. Spolszczył S. Srebrny 90 kop. W kartonie	1	10
Breits d-r, lekarz prakt. w Berlinie. 100 rad dla nerwowych ze szczególnem uwzględnieniem neurastenii, hypochondryi i hysteryi	—	25
Brownsford Antoni. Podręcznik do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich. II-gie nowo opracow. wydanie	1	50
Brykczyński A. ks. Dom Boży Praktyczne wskazówki budowania, naprawiania i utrzymywania kościołów na wzór dzieła ks. Barbier de Montault. Z tablicami, rysowanemi przez Wojciecha Gersona. Wydanie drugie, przejrzane i poprawione	1	50
Chmielowski Piotr i Grabowski Edward. Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach. 2 tomy	8	50
Choiński Jeske-Teodor. Bez wyboru. Opowieści, jakich wiele	1	—
— Majaki. Niedokończona kartka z chwili bieżącej	1	50
Na schyłku wieku. Studyum	1	50
— Rozkład w życiu i literaturze. Studyum	1	85
Ciało człowieka. Wykład poglądowy anatomii człowieka z tekstem objaśniającym d-ra M. Flauma i 10 drzew.	1	20
Dąbrowski Ignacy. Felka. Nowella	1	50
Dygasiński Adolf. Cudowne bajki. Z 21 illustr. J. Pankiewicza. W kartonie rs. 3 kop. 50. W oprawie	4	20
— Narzeczona z Ojcowa. Komedya ludowa w 3-ch akt.	1	20
— Pióro. Powieść	1	60
Flaum M. d-r. O wódce, piwie i winie. Odczyt	—	8
— O życiu i śmierci. Odczyt popularno-naukowy	—	25
Gębarski Stefan. Zaginiony w grotach Ojcowa. Z 15 illustracyami. W kartonie rs. 1 kop. 60. W ozdobnej oprawie	2	—
Gliński Kazimierz. Budownicy szczęścia. Powieść	1	20
Gomulicki Wiktor. Obrazki weneckie	1	—
— Złote ogniwa. Powieść, 2 tomy	2	—
— Zielony kajet. Szkice z ustronia	1	—
Grot-Bęczkowska W. Bez woli. Powieść	2	50
Guiraud Paweł. Opowiadania historyczne. Grecya. Życie domowe i publiczne Greków. Przeł. J. L. Popławski	1	50
— Opowiadania historyczne. Grecya. II. Instytucye publiczne. Przełożył J. L. Popławski	1	50
— Opowiadania historyczne. Rzym. Życie prywatne i publiczne Rzymian. Przełożył J. L. Popławski	1	80
Hajota. Ich syn. Powieść współczesna w 2 tomach	2	—
Hovey A. William. Odgadywanie myśli. Przełożył z angiel. Henryk Wernic. Z licznymi rysunkami	1	50
Jeż T. T. Sama. Powieść	1	60
Junosza Klemens. Fotografie wioskowe. Abram Pinkt i Mateusz Sikora, dwaj filozofowie współcześni. — Adjutant pana Macieja	1	—
— Monologi. Z illustr F. Kostrzewskiego. Wyd. II	1	20
— Żywota i spraw Imć P. Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro	1	20
Konarski Franciszek. Metodyczna gramatyka języka polskiego	—	60